

mistrz prus

WIĘCEJ NIŻ JEDNO ŻYCIE
ANNA RUDNICKA-LITWINEK

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Rudnicka-Litwinek

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Wszystko mnie bawi! Teatr mój, to świat cały.

Romain Rolland, *Colas Breugnon*, przeł. Franciszek
Mirandola

I człowiek szczęśliwy uczuł nagle, jak pękły pieczęcie,
które zamykały skarb jego, i zapomniawszy nawet
podziękować promienistemu, począł biec do domu, chcąc
jak najprędzej ludzi mieć około siebie.

Jerzy Żuławski, *Bajka o człowieku szczęśliwym*

Jak kto chce, byle nie nudnie.

Tadeusz Pruszkowski

Spis treści

Prolog	9
Kadr w ciszy	15
Czwarty brat	18
Szkolne pióro zamiast miecza	24
Pędzle z butów	35
Portret z rewolwerem	53
Na Brackiej grają <i>Vae Victis</i>	66
Paryskie rêves	82
Przy stole, przy sztaludze, na scenie	84
Rdza żelazo zmocuje	99
Połysek i mat	138
Polska niepodległa, Polska podzielona	143
Kramsztyk i koncerty w Rytmie	147
Zuzia malowana	156
Pod dachem Lwowskiej, coraz wyżej ponad Warszawą	161
Umarł mistrz, niech żyje mistrz	173
Dzień, kiedy Polska zamarzła	177
Buda i byczy profesor	184
Dom Sztuki – sztuka pod strzechy domów	194
Uczennice i uczniowie	207
Szopki i bale Szkoły Sztuk Pięknych	222
Floksy u podnóża Wietrznej Góry	227
Stach z „Kazimierza Wielkiego”	235
<i>Stoi na górze wieża, zamek dziury wyszczerza, perspektywa nadzwyczajna...</i>	243
Jak El Greco do Kazimierza nie trafił	254
Wyzwoliny, czyli dwóch uczniów idzie na swoje	258
<i>Idziesz w życie sam, niebożę; Czy przepłyniesz oszczerstw morze?</i>	264
Jak malowałem portret marszałka	271

Profesor coś kręci	278
Kobiety na zdjęciach, kobiety na portretach, kobiety na scenie i w filmie	299
Wisłodromą na Sroce	309
Witam, Chaimie Goldbergu	339
Wolność, ironia, muza dla każdego	342
Krakowiaczy i Warszawiaczy	352
Pożegnanie z kapistami	360
Wystawa poznańska, Szkoła Warszawska, sztuka życia kazimierska	362
1931	374
XVIII Biennale	377
Łoża Wolnomalarska	383
Batory	384
O wielką popularną sztukę, czyli upoważnienie artysty do gadania z tłumem	388
Traktat o obrazie	397
Budowanie popularności sztuki	400
Grupa Czwarta	404
Kazimierski kasztel Tadeusza znad ruczaju	405
Dom króla	415
Pracownia	420
Królowie w Ameryce	431
Powrót wisielca	433
Dwóch mężczyzn, dwie śmierci	445
Dzień dobry, profesorze Pruszkowski	462
Podziękowania	465
Przypisy	467
Spis źródeł ilustracji	478

Prolog

Drewno trumny uwierało w bark. Zostawi odcisk widoczny przez kilka dni, podbiegłe krwią wgłębienie. Może nawet wciśnie się mocniej; niewidocznie wywrze nacisk przez resztę życia człowieka dźwigającego akurat tę trumnę. Dłoń oparta o bok skrzyni osłaniała głowę. Ciężar rozłożył się na kilku silnych, młodych ludzi. Równali krok, by trumna się nie chwiała. Pilnowali się wzajemnie, szli w rytmie i poczuciu misji. Nie odbierali swojej roli jako nadmiernie trudnej. Ile może ważyć stary, schorowany człowiek? To waga chwili równała się wartości monumentalnej, niczym ciężar największego posągu. Czas i obecność zostawiły trwałe ślad na większości idących w kondukcje. Pogrzeb wielkiego Polaka. Tak o nim mówiono już wówczas, gdy jeszcze żył. Sława, która zazwyczaj otula artystów pośmiertnie, jego oświeciła żywego. Obrazy spod jego właśnie pędzla formowały myślenie ówczesnego pokolenia Polaków i kolejnych, mitologizowały życie polskich chłopów, co z upodobaniem przyjmowała inteligencja, której miła była sielankowa iluzja wsi. To był świat jak ze zdań Reymonta. Kraina romantycznych mgieł, ozłoconych zachodzącym słońcem dziewczęcych warkoczy na tle łąnów zbóż, ramion jędrnych od rwania się do pracy, stóp wyrobionych od zdrowego wędrowania boso. Świat stworzony przez wybitnego malarza realizmu, jak został zaetykietowany artysta, Józefa Mariana Chełmońskiego herbu Prawdzic, dziś w swojej ostatniej drodze, skomponowanej przez niego samego na wzór jednego z własnych obrazów.

I ramiona, które go niosły. Ręce malarzy z kolejnego pokolenia twórców odgórnie przeznaczonych na służbę sztuce polskiej. Dumnie dźwigających jakże polski ciężar martwej wielkości. Wśród nich młody Tadeusz Pruszkowski, do którego wróciła ta chwila dwadzieścia lat później.

Nie znałem Chełmońskiego. Tak się złożyło, że po powrocie do kraju trafiłem na jego pogrzeb. Niosłem go do grobu wraz z innymi młodymi

naówczas malarzami. Nic bardziej zgodnego z charakterem sztuki Chełmońskiego, jak ten jego niezapomniany pogrzeb. Poprzez drogi rozmokłe, poprzez miedze, polami nieśliśmy Chełmońskiego na cmentarzyk maleńki, wiejski, zgodny z otoczeniem. Skowronki dzwoniły podczas tej dziwnej podróży olbrzyma, niesionego na barkach małych człapiących ludzi.

Nie znałam Pruszkowskiego. Malarza, który w spisany przez siebie w 1934 roku wspomnieniu o roku 1914 i pogrzebie Józefa Chełmońskiego niósł trumnę sławnego artysty. Nie minie dziesięć lat od tego opisu, a nie będzie nikogo, kto w wojennej rzeczywistości poniosłby trumnę Tadeusza Pruszkowskiego. Nie będzie nawet trumny. Będzie nagła i ostatnia droga malarza. Pobiegnie przez warszawskie bruki oświetlone księżycem, wciąż ogromnym tuż po pełni, między murami podziurawionymi od kul kampanii wrześniowej. Zaledwie kilka przecznic od ulicy Lwowskiej do Orlej, ku ponurej bramie niszczącej kamienicy w getcie. Droga pokonana niemieckim autem gestapo. Z nigdy niewyjaśnionego powodu zakończona nie w więzieniu na Pawiaku, a w cieniu murów Orlej 6. Strzał z niemieckiego Walthera p38 zadzwoni o szyby w oknach, przestraszy grasujące w podwórku koty i szczury. Lokatorzy stłoczeni w pobliskich mieszkaniach getta przebudzą się, lekko wzdrygną i zacisną powieki mocniej, szczelniej niż podczas snu. Skończy się podróż olbrzyma, zakończą ją mali, okrutni ludzie rozgniatający wojennymi podeszwami Polskę. Śmierć zionąca wilgocią przejścia, podwórkowym odorem spotka sybarytę i konesera piękna życia, zwanego przez samego siebie i przyjaciół Grubasem, profesora malarstwa, uwielbianego przez uczniów mistrza, pilota, którego paliwem była fantazja, reżysera filmowej groteski na wzór westernu, a także setek scen ze sztuki własnego życia, giganta międzywojennej belle époque. Anonimowe ręce zanoszą ciało do masowego grobu wykopanego na boisku Skry.

Podążyłam śladami ostatniej drogi Tadeusza Pruszkowskiego. Również osiemdziesiąt lat po ostatniej nocy, którą spędził w swoim mieszkaniu-pracowni na ostatnim piętrze wspaniałej kamienicy przy Lwowskiej 11, patrzyłam z okien tego samego numeru na podwórko zamknięte wewnątrz murów. Nie były to okna pracowni Prusza, bo ostatnią kondygnację, którą w całości zajmował, zniszczyła bomba. Kamienica ocalała, co samo w sobie jest cudem w przypadku lewobrzeżnej Warszawy. Obniżona o to jedno piętro, o pracownię na poddaszu, rozległe mieszkanie, po

którym można było chodzić w amfiladzie, wychodzić i wracać przez kilka wejść, w tym reprezentacyjne, z dźwięczącej i skrzypiącej windy, która otwierała się na ostatnim przystanku wprost na dom Tadeusza i jego żony Zosi. Noc z 30 czerwca na 1 lipca 2022 roku była ciepła, czarowna. Na ile przypominała nutą tę samą porę osiemdziesiąt lat wcześniej, gdy gdzieś nad moją głową, obok, w całej kamienicy wydarzył się dramat? Jeden z wielu w czasie niemieckiej okupacji podczas drugiej wojny światowej. Ten najważniejszy dla kilkorga ludzi, którzy zostali wówczas wywiezieni ze swoich mieszkań przy Lwowskiej 11. Aresztowani, bez przesłuchania i przetrzymywania, wywiezieni, rozstrzelani. Noc z czerwca na lipiec w XXI wieku pachniała rozgrzanym asfaltem, kamieniem, brzmiała głosami rozbawionego towarzystwa, koncertem w Parku Ujazdowskim. Noc z lat czterdziestych XX wieku czuć było raczej strachem wsiąkającym w ten sam rozgrzany po upalnym dniu kamień. W studni podwórka głuchym echem odbijały się niemieckie komendy, rozkazy, metaliczny zgrzyt odbezpieczanej broni.

Tak się złożyło, że nie znając Tadeusza Pruszkowskiego, latami chodziłam po jego śladach. Najpierw nieświadomie mijałam witrynę w starej kamienicy w rodzinnym Radomiu, nie wiedząc, że właśnie tam Tadeusz kupował starodruki w żydowskim antykwariacie Abrama Warszawa. Z drugiego brzegu Wisły w letnie sezony malarskich plenerów spoglądałam na jego dom w Kazimierzu Dolnym, wyróżniający się sylwetką spośród innych niezwykłych budowli miasteczka. Patrzyłam na zwalistaną sylwetkę Prusza rozpychającą się w kadrach zdjęć, na których szukałam interesującej mnie pierwszej warszawskiej pilotki Hanki Henneberg, ale patrząc, pomijałam wówczas myślą jej profesora malarstwa Tadeusza Pruszkowskiego, także pilota i mistrza ceremonii pasowania Hanki i wielu innych adeptów awiacji na lotników. Czytałam jego lotnicze eseje, podziwiając lekkie pióro i błyskotliwą metaforę. Nie pamiętam pierwszego obrazu, którym Pruszkowski wprowadził mnie w świat swojej sztuki, lecz pamiętam, jak byłam zaintrygowana ideą tworzenia dzieł we wspólnocie, niczym w średniowiecznych cechach. Pomysłem ożywionym przez Pruszkowskiego w artystycznej grupie jego uczniów, w Bractwie św. Łukasza, i serii siedmiu unikalnych obrazów, przywołujących na myśl kalejdoskop filmowych ujęć z barwnego anime o Polsce. Każde dzieło powstawało dla własnego istnienia, kolektywnie (tak, to słowo budzące dziś niechęć wykorzystano w 1938 roku bezboleśnie, bo bez przymusu i z uznaniem dla talentu każdego z twórców). Seryj-

na produkcja wielkiej wagi. Na długo przed fabryką Andy'ego Warhola. Siedem obrazów powstałych na rok przed wybuchem wojny, jak siedem klejnotów w regaliach mistrza. Siedem błysków, co skusiły los. Siedem błędnych ogników pośród mgieł powojennego zapomnienia. Z tego zapomnienia dotarł do mnie dźwięk dwupłatowca Pruszkowskiego, Gipsy Moth SP-TUR. Warkotliwe brzmienie gwiazdowego silnika. Bardzo często dziecięcy gest zadzierania głowy w niebo wywołuje rozczarowanie, bo samolot już przeleciał. Zostało echo. Przypadkiem zadarłam głowę i wzrokiem trafiłam w pustą przestrzeń po Pruszu.

Przypadki zamieniły się w celowe podążanie za profesorem. Wracają do mnie jego ironiczne autoportrety, na których udawał klauna, przygryzał fajkę w teatralnym grymasie, pozował w dziwacznych nakryciach głowy, ściągając wargi jak do pogwizdywania wesołych ulicznych piosenek. O czym myślał, wysyłając w 1933 roku na wystawę do bolszewickiej Moskwy swój portret we francuskiej czapce kucharskiej, z wytłoczonym przepisem na francuską rewolucję: *Liberté, Égalité i Fraternité*? Rok później wrócił do swoich przemyśleń sprzed lat, z chwili, gdy ramię przynosiła mu trumna Chełmońskiego.

Myślałem wtedy o rozumie człowieka, który uciekł od zgiełku, od knozań, od intryg, od zawiści [...] Jakże trudno wyłączyć się z koliska artystycznego nałogów związanych z wielkim miastem. Jakże trudno zrezygnować z uczestnictwa w sądach i osądach, z uczestnictwa w formowaniu opinii artystycznej, z doraźnego dochodu moralnego, płynącego ze sławy i chwały ludzkiej.¹

Jak ciekawie brzmią takie przemyślenia spisane piórem jednego z najbardziej znanych artystów międzywojennej Polski. Człowieka przekraczającego pasjami granice środowisk twórców, z otwartością wkraczającego bez wahania w szeregi każdej z klas społecznych, własnym samolotem pokonującego granice państw Europy.

Zrezygnować z uczestnictwa.

Powiadasz, Tadeuszu, że rozumny człowiek ucieka od zgiełku, knozań, intryg i zawiści... Nie znajdujesz się w kolisku artystycznych nałogów, nie kusi cię sława i chwała. Idziesz z nimi pod rękę, ale jakbyś był nieobecny. Nie na własnej sławie ci zależy, a na chwale odzyskanej Polski. Nie sobie otwierasz wystawy, a uczniom swoim, wciąż powiadając im, żeby o sobie wzajemnie pamiętali, żeby razem pracowali, wspólnie upra-

wiali to trudne w samotności pole sztuki. I jeśli masz gdzieś swój nagrobny pomnik, to we wspomnieniach wszystkich, którym byłeś mistrzem. Na tej liście są Antoni Michalak, Edward Kokoszko, Bolek Cybis, Elias Kanarek, Teresa Roszkowska, Jadwiga Przeradzka, Chaim Goldberg, Renia Lorentowicz, Wojciech Fangor, a prócz nich jeszcze wiele innych nazwisk, dla których byłeś równie ważny jak sztuka, a oni stali się dla ciebie równie cenni jak rodzina, jak własne nigdy nienarodzone dzieci.

Grób Józefa Chełmońskiego w Ojrzeńowie łączy w sobie nienaruszalność polnego głazu z kruchością pnia uschniętego drzewa. Nierówna bryła kamienia o postrzępionych brzegach i masywny, górujący nad nim drewniany krzyż. Chełmoński dzieli to miejsce z przyjacielem, zmarłym dziesięć lat przed nim księdzem Franciszkiem Pełką. To było osobiste życzenie malarza, by spoczywać u boku przyjaciela. Nagrobek rodziny Pruszkowskich na warszawskich Powązkach wyróżnia się nawet wśród imponujących dzieł sztuki wzniesionych na tym cmentarzu. Wsparty na przedramieniu, na wpół leżący mężczyzna o antycznej rzeźbie odsłania pierś, jakby ze stoicką rezygnacją czekał na cios. Sylwetka i kompozycja przypominają prace Edwarda Wittiga. Jest dość prawdopodobne, że to właśnie u tego rzeźbiarza, bliskiego znajomego Tadeusza, został zamówiony nagrobek dla Stanisława Pruszkowskiego, poległego w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku starszego brata Tadeusza. Pod sylwetką pokonanego atlety widnieje płaskorzeźba autorstwa Zofii Trzczińskiej-Kamińskiej, uczennicy Wittiga. Dwa wkomponowane w siebie profile kobiety i mężczyzny, spoglądające w dół, w jednym kierunku, niczym w tańcu. Pod płaskorzeźbą duża tablica z nazwiskiem Tadeusza Pruszkowskiego i błędną datą jego śmierci. Ten błąd nie ciąży na profesorze, znanym z poczucia humoru i żartów z samego siebie. Tadeusza zresztą w tym grobie, wśród krewnych i braci, fizycznie nie ma. Nie ma pewności, gdzie został pochowany. Prawdopodobnie jego szczątki, wraz ze szczątkami innych rozstrzelanych przez gestapo, spoczywają na terenie dawnego boiska Skry. Prusz istnieje już tylko we wspomnieniach, w literach na pożółkłych stronach z felietonami, w pociągnięciach pędzla.

Nie ma go też w nazwie warszawskiej akademii, której był pierwszym rektorem. Wyrwa we wzorze splecionym z wielu artystycznych instytucji: wrocławskiej, której patronuje Eugeniusz Geppert, łódzkiej, imienia Władysława Strzemińskiego, czy krakowskiej, noszącej imię Jana Matejki, pierwszego jej dyrektora. Nie ma go w powszechnej pamięci o ludziach tworzących fundamenty polskiej sztuki. W powojennej świadomości stał

się bladym wspomnieniem schowanym do lamusa. On, człowiek wprawiający w ruch nowe idee, inicjator ważnych wydarzeń, tradycji do dziś obecnych na artystycznych uczelniach, integrujący środowiska, ludzi z każdej grupy społecznej, bez względu na płeć, pochodzenie, poglądy. „Jakże trudno wyłączyć się [...] z uczestnictwa w formowaniu opinii artystycznej, z doraźnego dochodu moralnego, płynącego ze sławy i chwały ludzkiej”². Historia, los, ludzie ułatwili artyście tę trudną decyzję. Wyłączyli go pośmiertnie ze zwycięskiej defilady odzyskanej wolności, z duchowego uczestnictwa w formowaniu artystycznych opinii. Pozbawiony towarzystwa sławy i chwały, stał się duchem powietrza, w widmowym dwupłatowcu szuka miejsca do efektownego lądowania.